

## Na scenie BTD

Częste wybuchy śmiechu na widowni w trakcie przedstawienia, gorące, rzesiste brawa w finale — serdecznie przyjęła koszalińska publiczność pierwsze przedstawienie komedi Marca Camoletiego „LATAJĄCE NARZECZONE”. Bo też dawno nie mieliśmy na scenie Bałtyckiego Teatru Dramatycznego podobnie wdzięcznej okazji do beztrudnej zabawy. Komedia — a dokładniej biorąc — farsa z Paryża rodem jest zachwycającym dziełem scenopisarskiego mistrzostwa. Cóż może bawić bardziej, niż męsko-damskie kłopoty, kończące się happy-endem! A dodajmy matematyczną z gołą precyzję w wykorzystywaniu wszelkich okazji do zabawy, wszelkich chwytów, każdego dowcipu sytuacji „jonego od zużytego „wyciskacza śmiechu” typu: dziewczyna całuje obcego pana, sądząc że to jej narzeczonu, do kunstrowego przepiekania kalejdoskopu scenicznych figur, z których trzy nie mogą się spotkać pod groźbą natychmiastowej katastrofy.

Treścią tej nieskomplikowanej komedynki jest bowiem miłosne qui pro quo wynikające w momencie, gdy zawodzi precyzyjny, między narodowy rozkład lotów, pozwalający dotąd młodemu paryżaninowi bezpiecznie obsypywać względami trzy stewardessy trzech linii lotniczych. Narzeczone o jednej porze zjeżdżają się w Paryżu i...

Zachowane są wszelkie najsurowsze reguły klasycznej budowy sztuki scenicznej — z trzema jednostkami; czasu miejsca i akcji, z przebywaniem na scenie najwyższej trzech osób działających łącznie. Warto prześledzić, jak te dodatkowe utrudnienia wykorzystuje z pożytkiem dla siebie i widza rutynowany autor.

Podczas zabawy z nadmiarem narzeczonych Marc Camoletti proponuje nam dobrodusznego pokpiwanie z Amerykanów i Niemców, ulubionych celów humorystów francuskich w epoce Generała. Zastanawiająco skrupulatnie krytykowane są przede wszystkim... gastronomiczne skłonności obu tych nacji, co może służyć dodatkowym dowodem na twierdzenie, że dla Francuza stół jest ważniejszym niż łożo.

Nic dziwnego zatem, że w macierzystym Paryżu komedia „Boeing, Boeing” cieszy się dwunastoletnim, nieprzerwanym powodzeniem wpisując się do księgi światowych rekordów teatralnych. To komedia bulwarowa w najczystszy paryskim stylu — co jest znakiem firmowym odrębnego gatunku sztuk teatralnych.

Rzadko tego typu konwersacyjno-sytuacyjne farsy goszczą na naszych scenach. Uważa się, że polscy aktorzy, młodego szczególnie pokolenia, nie umieją ich grać z dostateczną finezją, czego potwierdzeniem wydaje się być także spektakl na scenie BTD. Nie od razu aktorzy chwytają właściwe tempo, któremu chwilami nie dostaje dyktowalności. Na przedstawieniu, które oglądałam, zabawa zaczęła się właściwie w połowie drugiego aktu, by zresztą już nieprzerwanie we wznoszącej się gradacji śmiechu zdążyć do finału. Mogą się zdarzyć — a im dalej od daty premiery, tym zapewne będzie to częstsze — przedstawienia bardziej udane, weselsze, dużo tu należy i od widowni, która być powinna przekonana, iż zdrowy, gromki śmiech w teatrze nie jest zdrożnością.

Główną rolę Bernarda, nieco ospałego i nadto już nieporadnego w momentach katastrofy gra STANISŁAW FRĄCKOWIAK. Jego przyjacielem Robertem, który go z opresji częściowo wybawia jest ANDRZEJ CIARKA — mający szczególnie udane momenty w drugim akcie, gdy spadać nań zaczynają coraz większe obowiązki i wymyślanie pretekstów, usprawiedliwiających nieszczęsnego narzeczonego trzech na raz pań.

Grają je: URSZULA JURSA (Joanna), EWA NAWROCKA (Janet) i BARBARA DEJMEK (Judyta). Urszula Jursa jest zaledwie może „na dystans”, oschła i nieco groźna

Francuzką; Ewa Nawrocka przeszarżowuje czasami „amerykanizmy” Janet, szczególnie w trzecim akcie — dużo jest tam różnych „oh, yes”, i „hello” i kręcenia biodrami. Barbara Dejmek gra zaś sentymentalną, czułościową gąską niemiecką. Cała trójka zresztą spełnia sympatycznie swe zadania sceniczne, uwiarydzielniacząc osnowę ratygi: skłonność, jałg do ślicznych stewardess żyjących Bernard. Znaczną część akcji dźwiga na sobie Berta, gospodyni Bernarda — MAGDALENA RADEŁOWSKA — dla której „takie życie, to nie jest życie dla służącej”.

Reżyserował na naszej scenie tę niefrasobliwą zabawę JERZY WRÓBLEWSKI, dbając przede wszystkim o rozmaitość sytuacji scenicznych (choć obeszłoby się chyba bez tego biegania po sprzętach!) i czytelne podawanie kwęstii. Zastługą reżysera przy tego rodzaju realizacjach scenicznych jest „nieobecność” reżyserii, niewidoczność „szwów” teatralnej roboty, nadanie perypetiom akcji płynności.

## „Dla panów cenne wnioski praktyczne...”

Scenografię „Latających narzeczonych” zaprojektowała ŁUCJA KOSSAKOWSKA. Nie było to łatwe zadanie, gdy na scenie znajdować się musi pięć drzwi. Z realistyczną zabudową pokoju kłóć się natomiast zwisające nad scenę, co tu ukrywać — brzydkie welony z białego tiulu. Niby tłumacząc finał, ale są zbędne i zgoła „lopatologiczne”.

Komedię ozdabiają pogodne piosenki KAZIMIERZA ROZBICKIEGO i ELŻBIETY KISIELEWSKIEJ. Ta próba sił miejscowych w gatunku „produkcji antyimportowej” dała przyjemny rezultat. O choreografię zadbała BARBARA FIJEWSKA — śpiewać i tańczyć w szybkich, zmiennych rytmach nie jest łatwo i choć nasi aktorzy mają za sobą niezłą szkołę „Krakowiaków i górali” i „Niech no tylko zakwitną jabłonie” — tu też muszą dawać z siebie maksimum wysiłku. A nie wszyscy są dostatecznie dobrze dysponowani głosowo, pochwalic więc należy — mimo zastrzeżeń — rezultat.

W sumie — słuszne będzie powodzenie „Latających narzeczonych” wśród widzów naszego teatru. Załować należy, że premiery ukazuje się pod koniec marca, w drugiej połowie sezonu. Z łatwością wszak teatr osiagnąć może sto czy więcej przedstawień tego — będziemy sprawiedliwi — teatralnego „samograjka”.

STEFANIA ZAJKOWSKA

Bałtycki Teatr Dramatyczny im. J. Słowackiego. M. Camoletti, „Latające narzeczone”, komedia muzyczna w 3 aktach, przekład H. Rostworowski, reżyseria J. Wróblewski, scenografia Ł. Kossakowska, choreografia B. Fijewska, muzyka — K. Rozbicki, teksty piosenek — E. Kisielewska. Premiera 12 marca 1972 r. w Słupsku.